



PAULINA
KUZAWIŃSKA

Czarownica

*Droga do odkupienia win prowadzi
przez grzechy mrocznej przeszłości...*

L I R A
WYDAWNICTWO

Czarownica

PAULINA
KUZAWIŃSKA

Czarownica

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67915-06-9

PROLOG

Coś wisiało w powietrzu.

Maeve wyczuwała to całą sobą.

Nie chodziło o coraz silniejszy wiatr od morza ani o eteryczny posmak nadciągającej burzy, którą zapowiadała krwista czerwień słońca, lecz o wieczorny niepokój — przejście ze światła w ciemność, które od dziecka wywoływało w niej dreszcz i ekscytację. Kiedy tarcza słońca znikala za horyzontem długich, oceanicznych fal, świat się zmieniał, a Maeve razem z nim. Żyła zgodnie z rytmem natury, tak jak jej babka i matka — dlatego była wyzulona na zachodzące w niej zmiany...

Coś się zbliżało. Coś... albo ktoś.

I po tej nocy nic nie będzie takie samo.

Młoda kobieta stała przed dolmenem — pradawnym głazem, który ktoś przed wiekami umieścił tu w jakimś celu. Wiatr pędził coraz ciemniejsze fale po oceanie poniżej zielonego wzgórza, nadymał jej szeroką czarną spódnicę i plątał rude włosy. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w dolmen, którego czepiały się ostatnie promienie słońca. Czekala, aż dzienna gwiazda zajdzie zupełnie.

Wtedy, szepcząc słowa modlitwy, położyła dłoń na powierzchni dolmenu.

W irlandzkim folklorze wciąż żywa była wiara w istnienie „kamieni opowieści”. Stara ciotka Maeve, Muriel,

uważała, że niektóre kamienie mają zdolność do przechowywania historii i legend z przeszłości. Według tych wierzeń osoba, która dotknie kamienia opowieści, może odczytać przechowywaną przez niego historię albo otrzymać wgląd w przeszłość.

Właśnie tego chciała Maeve. Tego pragnęła z całych sił.

— Proszę cię... Pomóż mi ją odnaleźć... Pokaż mi... Pokaż, gdzie jest ukryta... — wyszeptała żarliwie, wpatrując się w dolmen.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, próbując usłyszeć szept z przeszłości.

Wówczas szum fal zmienił się w trzask płomieni, krzyk mew w żałobny lament, a tchnienie wiatru w piekące jęzory ognia. Kiedy oplotły jej ciało, z ust Maeve wystrzelił wrzask, który stopił się z pierwszym tego wieczoru grzmotem burzy.

1.

Tej nocy wiatr od morza niósł z ciemności upiorne wspomnienia.

Burza zaatakowała ponownie z wściekłością, wypełniając przestrzeń szumem ulewy. Lazare z niepokojem myślał o dachu kościoła. Budynek przeszedł wiele — i chociaż stare kamienne mury trwały niewzruszenie, to więźba dachowa ledwie zipała. Westchnienia i jęki drewnianych belek mieszały się z zawodzeniem i wyciem wichury, z hukiem fal rozbijających się o skaliste klify, z syczeniem piasku mielonego przez bałwany na wąskiej plaży — a także ze słowami łacińskiej modlitwy księdza.

Czarna sutanna spowijająca ciało kapłana przypominała skrzydła umierającego kruka. Lazare leżał krzyżem na zimnej posadzce, na którą przez dziury w dachu kapłan deszcz. Prawy policzek i ucho mężczyzny dotykały kamiennej podłogi.

Wyglądał, jakby nasłuchiwał.

— *Domine, ignosce mihi peccata mea... Domine, libera me* — powtarzał cicho, niemal nie poruszając ustami. — Panie, przeucz mi moje grzechy... Panie, uwolnij mnie...

Na zewnątrz rozległ się kolejny grzmot.

Światło błyskawicy gwałtownie wypełniło sklepioną nawę, zalewając ją na moment jaskrawą poświatą. Wodne bicze zalśniły jak węże pełznące po witrażowych oknach. Wilgoć oblepiała każdy zakątek kościoła.

Grzmot, który nastąpił po błyskawicy, stopniowo przeszedł w głucho kołatanie do drzwi kościoła.

Domine, ignosce mihi peccata mea... Domine, libera me.

Blade i wąskie usta księdza poruszały się jeszcze szybciej. Powieki zacisnęły się, podkreślając sieć zmarszczek wokół oczu. Lazare podniósł się wolno i wyprostował.

Kołatanie do drzwi kościoła się powtórzyło, a jego przeniknął lodowaty dreszcz.

Dobrze wiedział, że lada chwila ciężkie wrota świątyni ustąpią pod naporem mroku z przeszłości.

Miał tylko jedno wyjście.

2.

Ciało wisielca zataczało nad kamienną posadzką ledwie dostrzegalne, powtarzające się kręgi — niczym poruszane niewidzialną siłą wahadło Foucaulta, mające być dowodem na ruch obrotowy Ziemi. Gruba żeglarska lina zaciśnięta wokół szyi starca przypominała jadowitego węża z ogrodu Eden.

Scena, która ukazała się moim oczom po wejściu do kościoła, stanowiła obraz niczym z najgorszego sennego koszmaru.

Przeczyła wszystkiemu, w co wierzyłem.

Stary proboszcz, którego poznałem zaledwie parę godzin wcześniej, unosił się nad kamiennym ołtarzem w zrujnowanym średniowiecznym kościele — jak podczas wniebowstąpienia. Czarna sutanna falowała od

przeciągu, który przesuwiał się wzdłuż głównej nawy niczym duch.

Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem i czułem, jak rozpadam się od środka. Moje wczorajsze przekonania i moja wiedza o świecie rozsypały się jak domek z kart. Kolejne elementy myślowych konstrukcji, które wznosiłem przez lata, obracały się w ruinę.

Nic nie mogłem na to poradzić.

Po prostu patrzyłem — jak żona Lota obrócona w kamienny słup soli, gdy zobaczyła zagładę biblijnej Sodomy.

Po jakimś czasie zacząłem budzić się z letargu. Dobiegły mnie odgłosy wody kapiącej z dziurawego dachu. Słyszałem coraz głośniejsze westchnienia i szepty mieszkańców miasteczka, którzy stopniowo gromadzili się w swojej świątyni. Wciąż nadchodzili kolejni. Wyruszali się z porannej mgły jak cienie. Klękali w progu lub w kruchcie i zaczęli się modlić. Przypominali mi teraz pokutujące w czyścicu dusze ze ściennego malowidła, które widziałem w pewnym kościele w Rzymie w tym krótkim okresie mojego życia, kiedy moi przełożeni wierzyli we mnie równie mocno, jak ja wierzyłem wówczas w siebie.

Teraz miałem ochotę ukryć się przed ludzkimi spojrzeniami.

Ale nie mogłem.

Całkowicie obcy ludzie spoglądali w ciszy kościoła prosto na mnie. Wzrok każdego z nich — mężczyzn, kobiet i dzieci — zdawał się przeszywać mnie na wylot. Ich wymizerowane, ściągnięte, blade twarze wyrażały

ból i przerażenie. Ich jasne oczy pełne były strachu, ale również nadziei.

Nadziei, której szukali teraz we mnie.

Poczułem, jak wraz z tymi przenikliwymi, ostrymi jak noże spojrzzeniami spływa na moje barki niewidzialny ciężar.

A jednocześnie doświadczyłem niespodziewanego przyływu wewnętrznej siły.

Byłem dla nich całkowicie obcym człowiekiem.

Ale Kościół, który reprezentowałem, nie był obcy.

Uosabiał władzę, niezachwiany spokój i siłę.

To dlatego zwracali się w moim kierunku.

Musiałem okazać się pasterzem godnym własnego stada...

To było jak chrzest.

Nagle musiałem narodzić się na nowo.

Z chwili na chwilę czułem, że staję się innym człowiekiem.

Że nic nie będzie już takie samo jak wcześniej.

— Księżę Flynn... Proszę księdza... — rozległ się obok mnie kobiecy szept.

Odwrociłem głowę — głos należał do właścicielki gospody. Lazare skierował mnie do niej na tę burzową noc, w trakcie której zakończył życie. Nora Dawson miała szerokie ramiona, obfite piersi, wąską twarz, jasne włosy i przejrzyste oczy. Dawno temu musiała być piękna, choć niewiele już zostało w niej z młodzieńczej subtelności...

— Proszę księdza, trzeba będzie go pochować...

W milczeniu skinąłem głową.

Po chwili przeszło mnie zimno, bo dopiero teraz w pełni zdałem sobie sprawę z tego, co to oznacza. Jeżeli ksiądz Lazare popełnił samobójstwo, to dopuścił się grzechu śmiertelnego.

Zgodnie ze starą kościelną tradycją samobójca nie mógł po śmierci spocząć na katolickim cmentarzu. Nawet jeżeli był księdzem... Długoletnim proboszczem, dobrze znanym i szanowanym przez swoich parafian.

Mimowolnie zacisnąłem dłonie.

Czekały mnie niezwykle trudne decyzje.

A przecież to był zaledwie mój pierwszy poranek w tym zapomnianym przez świat nadmorskim miasteczku...

— Czy coś mówił? To ksiądz rozmawiał z nim jako ostatni, prawda? — wyszeptwała pytająco właścicielka gospody.

W odpowiedzi tylko skinąłem głową. Mimo szoku, jaki niewątpliwie przeżywałem, próbowałem cofnąć się w myślach do minionej nocy. Do czasu mego pierwszego spotkania z księdzem Lazare.

3.

Tak, to ja byłem ostatnią osobą, która rozmawiała ze starym proboszczem. A teraz on wisiał martwy w ponurym średniowiecznym kościele niemal w tym samym miejscu, w którym spotkaliśmy się poprzedniego wieczora.

Przybyłem do miasteczka po długiej podróży z Dublina. Najpierw podróżowałem pociągiem, potem furmanką, a na końcu szedłem pieszo. Furman, który zostawił mnie i mój podróżny worek przy ubitej drodze, przepowiadał, że niebawem zacznie padać. Być może to dlatego odjechał z pośpiechem, poganiając wychudłego konika. Spoglądałem za nim przez krótką chwilę, gdy znikał w rytmie terkotu kół i skrzypienia nienaoliwionych osi. Miałem wrażenie, że wraz z nim oddala się ode mnie moja przeszłość.

Zwróciłem spojrzenie przed siebie. Furman miał rację. Zanosiło się na deszcz. Niebo na zachodzie wyglądało jak skąpane we krwi. Kiedy szedłem, czerwone łuny ponad oceanem szybko gasły, niczym żar przysypany popiołem burzowych chmur. Wiatr omiatał soczyście zielone trawiaste wzgórza coraz mocniej, coraz bardziej natarczywie. Byłem dobrym piechurem, wędrowałem szybko, ale na nic się to zdało. Miasteczko było położone od głównej drogi dalej, niż początkowo sądziłem. Spoglądając na nie ze szczytu kolejnego wzniesienia, uległem wrażeniu, że to ciemniejące fale morza raz przybliżały je ku mnie, a raz oddalały — przenosząc kryte łupkiem domy to w jedną, to w drugą stronę, tak jak fala młóci drobne kamyczki.

Kiedy dotarłem do pierwszych zabudowań miasteczka, siekl już gęsty deszcz. Wraz z nim na świat spadała gęsta ciemność, coraz częściej przetykana łunami błyskawic. Tymczasem w oknach kamiennych domów położonych najbliżej głównej drogi nie dostrzegłem

choćby światełka. Nie dziwiło mnie to zbyt mocno. Po burzliwym okresie wielkiej plagi ziemniaczanej, która nawiedziła Irlandię w połowie stulecia i zakończyła się zaledwie dziesięć lat temu, wiele domostw zostało opuszczonych na zawsze. Jeżeli ich mieszkańcy mieli szczęście i przeżyli klęskę Wielkiego Głodu oraz zabójczych chorób, prawdopodobnie wyemigrowali do Ameryki. Za oceanem szukali szans na godne życie, z dala od znienawidzonych Anglików i pamiątek okrutnej przeszłości. Irlandia była dla nich ziemią przeklętą, wyspą szkieletów... Ci, którzy mimo przeciwności zostali w miasteczku albo powrócili do niego po latach, musieli na nowo, z mozołem budować swój świat pośród śladów niedawnych tragedii. To zadanie wymagało ogromnej siły — takiej, jaką mogła dać wyłącznie niezachwiana wiara w boski plan i w boską sprawiedliwość.

Dlatego biskup uznał, że potrzebują księdza.

Głosu Boga na tej nadmorskiej pustyni.

Deszcz siekł coraz mocniej. Słone, zimne krople spadały na moją twarz, wiatr chłostał mój podróżny worek i czarną sutannę. Czułem się niczym duch — samotny i wykluczony ze świata ludzi, których nigdzie nie mogłem dostrzec. Miasteczko wyglądało albo na wymarłe, albo na pogrążone we śnie. Kamienne domy o łupkowych dachach pochylały się nisko ku ziemi. Wcześniej czułem się brudny i zmęczony, woniało ode mnie węglowym dymem. Teraz płaszcz podróżny i sutanna kleiły mi się do ciała, podobnie jak kosmyki mokrych włosów, które wiatr próbował wyswobodzić

spod kaptura. Byłem już skłonny poszukać schronienia w pierwszym lepszym budynku, kiedy powietrze przede mną rozdarła błyskawica. Jej lodowate, świetliste palce ukazały mi zarys wieży kościoła na tle pędzonych wiatrem burzowych chmur.

Pospiesznie ruszyłem w jej kierunku, kuląc się na wie-
trze i przyciskając do ciała worek podróży.

Dotarłem do kamiennego średniowiecznego kościoła o grubych gotyckich murach z przyporami. Przez skle-
pione witrażowe okno dostrzegłem w środku światło. Wraz z nim spłynęło na mnie niepewne uczucie ulgi.

Masywne drewniane drzwi kościoła nie były zamknię-
te na zamek. W ciemności wymacałem żelazne okucia i ciężką klamkę. Drzwi ustąpiły z metalicznym skowy-
tem. Zamknąłem je za sobą, walcząc z naporem wiatru, który niósł przenikający wszystko zapach oceanu.

Odrzuciłem na plecy przemoczony kaptur. Przeże-
gnałem się zamaszystym gestem.

W porównaniu z hukiem burzy szalejącej na ze-
wnątrz — w środku panowała niemal zupełna cisza. Przez chwilę z natężeniem nasłuchiwałem zawoźde-
nia wiatru, szumu deszczu i huku fal, który dobiegał
aż tutaj. Na ich tle odgłos moich własnych kroków na
kamiennej posadzce wydał mi się dziwnie obcy i nie
na miejscu.

Chociaż byłem w kościele, w domu bożym, czułem
się jak intruz.

Na pewno dlatego, że ta świątynia była tak przeraź-
liwie pusta.

Podszedłem do ołtarza i uniosłem stojącą na nim zapaloną lampę naftową. Żółty poblask ożywił cienie na ścianach, które rozbiegły się we wszystkich kierunkach. W miarę jak moje oczy przyzwyczajały się do mroku, moje myśli stawały się coraz bardziej ponure.

Kościół wyglądał na straszliwie zaniedbany, wręcz zrujnowany. Dach przeciekał jak olbrzymie sito, o podłogę nieprzerwanie dzwoniły strużki wody. Witrażowe okna pokryły się pajęczyną pęknięć. Kamienne mury były ośliżłe od wilgoci — pod ścianami zbierały się kałuże.

Pomyślałem, że skala prac, które należałoby tutaj wykonać, byłaby ogromna.

— Kto tu jest?! — rozległ się nagle przejmujący, niski głos.

Zdawało mi się, że dobiega z głębi murów.

A może i z mego własnego wnętrza...

Kto tu jest?!

To pytanie rzucone w ciemność i pustkę było niczym głos Boga na górze Tabor.

Sprawiło, że przeszył mi dreszcz grozy.

Szybko odwróciłem się ku drzwiom.

Stała w nich zakapturzona postać z przeszkloną latarnią w dłoni.

— Ksiądz Liam Flynn! — zawołałem. Chciałem ruszyć ku nieznanemu, ale stałem w miejscu jak sparaliżowany. Mięśnie miałem zeszywniałe od chłodu, a moje zęby cicho o siebie dzwoniły. Mimo to mój głos, jak niemal zawsze, brzmiał spokojnie: — Mam list polecający od księdza biskupa.

Podmuchał wicher, omiół płaszcz nieznajomego i pokrył moją twarz śliską wilgocią.

W blasku kolejnej błyskawicy oczy obcego zamigotały jak ślepiec lis.

— Jestem ksiądz Lazare. Chodź za mną.

4.

Salonik w budynku plebanii był wypełniony książkami. Mnóstwo większych i mniejszych tomów rozmaitych autorów piętrzyło się na regałach rozmieszczonych wzdłuż dwóch z czterech ścian pokrytych białym tynkiem. Skórzane okładki, złożone litery na niektórych grzbiecach i pożółkłe papiery zgromadzone w rogu małego biurka pod oknem zrobiły na mnie bardzo dobre wrażenie. Odetchnąłem głęboko, pełną piersią, z upodobaniem chłonąc ciepło ognia płonącego w kominku. Jeden rzut oka na biblioteczkę zapewnił mnie, że ksiądz Lazare jest człowiekiem o szerokich zainteresowaniach i lotnym umyśle. To stanowiło dla mnie sporą ulgę. Od dzieciństwa traktowałem książki jak najlepszych przyjaciół, których — prawdę mówiąc — nie miałem zbyt wielu. Jadąc tu z Dublina z jednym podróżnym workiem, obawiałem się, że zostanę na dłuższy czas pozbawiony ich pouczającego towarzystwa.

Gospodarz zdjął przemoczoną pelerynę i kazał mi uczynić to samo. Potem powiedział, żebym zagrzał się przy ogniu, podczas gdy on zaparzy mi w kuchni herbaty.

Nie musiał powtarzać dwa razy swojego zaproszenia. Nie śmiałem usiąść w wiklinowym fotelu, wyłożonym kilkoma poduszkami ogryzionymi przez mole, lecz stałem przy kominku, wyciągając ku niemu zgrabiałe dłonie. Żłociste płomienie były zaczesywane przez podmuchy wiatru w kominie to w jedną, to w drugą stronę. Taniec ognia hipnotyzował. Przyjemne ciepło zaczęło rozlewać się po moim ciele. Wraz z nim poczułem opadające na moje barki mordercze zmęczenie podróży. Zawodzenie burzy za oknami domu proboszcza tworzyło przyjemny kontrast z przytulnym wnętrzem. W mojej głowie zaczynały kłębić się pytania, które pragnąłem zadać proboszczowi Lazare. Dobrze rozumiałem jednak, że większość z nich będzie musiała poczekać na odpowiednią chwilę.

Nie mogłem wówczas przypuszczać, że ta chwila nigdy nie nadejdzie.

Ksiądz Lazare powrócił z dwoma kubkami parującej herbaty. Gestem wskazał mi jedno z dwóch krzeseł przy wąskim stole naprzeciw kominka. Zaczekałem, aż usiądzie, i zająłem miejsce naprzeciwko.

W blasku ognia obrzuciłem mojego dobroczyńcę badawczym spojrzeniem. Bez wątpienia był mocno posunięty w latach. Miał zaokrąglone, zgarbione ramiona, ale i tak wydawał się bardzo krzepki. Przypominał powyginane wiatrami stare drzewo. W młodości musiał być jednym z tych silnych, zawziętych, irlandzkich mężczyzn, których energia zdaje się wręcz niewyczerpana. W jego twarzy dominowały okrągłe,

jasne oczy. Były zimne i przejrzyste jak woda. Głowę proboszcz Lazare miał niemal całkiem łysą. Tylko za uszami i na skroniach kryły się ostatnie kępki kręconych siwych włosów — niczym biały mech obrastający gładki kamień.

Przez chwilę obaj w milczeniu siorbaliśmy mocną herbatę. W ciemności na zewnątrz szalała burza. Nieduże okno ociekało wodą, jak gdyby ktoś co chwila chlustał na nie wiadrem.

Nie śmiałem przerwać ciszy pierwszy. Wydawało mi się to nie na miejscu. Lazare miał być moim zwierzchnikiem — nie chciałem, żeby stary ksiądz choćby przez moment podejrzewał, że mógłbym próbować umniejszyć jego rolę. Zależało mi na tym, żeby nasze stosunki ułożyły się od początku jak najlepiej.

Tym bardziej że w przeszłości jako ksiądz nie zawsze wykazywałem się należytą pokorą.

W drodze do tego miasteczka przysiągłem sobie, że będę unikał dawnych błędów.

— Więc przysła księdza biskup. — Proboszcz Lazare odchrząknął. Od dłuższej chwili przyglądał mi się z uwagą, chociaż najwyraźniej jednocześnie siłił się, żeby jego spojrzenie nie było zbyt natrętne.

Skwapliwie skinąłem głową.

— Najwyraźniej ksiądz biskup uważa, że przyda się księdzu pomoc.

— To prawda. Nie mam już tyle sił, co kiedyś — zgodził się natychmiast Lazare. — Z każdym dniem trudniej przeciwstawiać mi się złu. Trudno toczyć ten

bój w swoim sercu... — Odchrząknął i upił spory łyk herbaty. — Ksiądz jest bardzo młody... Liam Flynn... — powtórzył moje imię i nazwisko, jak gdyby próbował sobie coś przypomnieć. — Liam Flynn... — jeszcze raz obrócił moje imię w ustach, jak gdyby smakował gorzkie lekarstwo. — Mogę spytać, które seminarium ksiądz ukończył?

— All Hallows College w Dublinie.

— Kształcą tam przede wszystkim misjonarzy, prawda? — Lazare pokiwał głową. — Dublin... Wielkie miasto. Tutaj jest inny świat. Czasem będzie się księdzu wydawać, że znalazł się na krańcu ziemi. Z dala od cywilizacji. Czas płynie tutaj inaczej. Dużo wolniej.

— Sądzę, że będzie mi to odpowiadać.

— A jak ocenia ksiądz All Hallows College? Ja ukończyłem Seminarium Świętego Kierana w Kilkenny... Stara szkoła ze starą, irlandzką tradycją... Ale to było dawno, dawno temu... — W głosie księdza zabrzmiała nuta smutku.

— Wiem, że Święty Kieran to wyjątkowo szacowna szkoła. Ja sam nie mam porównania z innymi uczelniami. Dlatego trudno mi wyrazić bezstronnie zdanie o All Hallows — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Studiowałem tam sześć lat. Później sam zostałem wykładowcą. — Być może nie powinienem był o tym wspominać, ale słowa już padły.

— O! — zainteresował się natychmiast Lazare. — Musiał więc ksiądz wykazywać wyjątkowe predyspozycje...

Przypuszczam, że nawet talent oratorski. Czego ksiądz nauczał?

— Teologii i języków klasycznych.

— I mimo to wysłali księdza tutaj? — W głosie księdza Lazare nie dosłyszałem ani krzty podejrzliwości. Wyłącznie bezmierne zdziwienie.

— Każdy z nas ma w życiu wiele zadań — odpowiedziałem cicho. — Biskup stwierdził, że już czas, żebym podjął się nowego.

Lazare pokiwał głową.

— To prawda. Jest ksiądz młody. Młody człowiek nie może tkwić zbyt długo w jednym miejscu. Przed księdzem jeszcze tak wiele wyzwań. Wiele misji. Liczne dzieła ku chwale Pana... I dużo, dużo pracy... — zamruczał proboszcz.

Kiedy wspomniał o dużej ilości pracy, pomyślałem, że być może nawiązuje do opłakanego stanu, w jakim znajdowała się świątynia w miasteczku. Widok zaniedbanego, zatopionego w zimnym mroku wnętrza kościoła głęboko zapadł mi w pamięć. Teraz, kiedy kolejne błyskawice za oknem przecinały niebo, ów obraz raz po raz stawał mi przed oczyma.

Postanowiłem poruszyć ten temat.

— Zauważyłem, że dach kościoła mocno przecieka. Jeżeli ksiądz się zgodzi, chętnie zajmę się jego remontem. To średniowieczny budynek, prawda?

— O tak — potwierdził proboszcz Lazare, wolno kiwając głową. — Powstanie kościoła datowane jest na koniec trzynastego wieku. Zapiski historyków mówią,

że wcześniej w tym miejscu znajdowała się pogańska świątynia. Prawdopodobnie kościół wzniesiono dawnym zwyczajem na jej ruinach.

— Interesuje się ksiądz historią tego obszaru? — spytałem, przebiegając wzrokiem po grzbietach ksiązek zgromadzonych na regałach z ciemnego drewna. Sądziłem, że sprawię mu przyjemność tym pytaniem. Zazwyczaj nawet małomówny człowiek chętnie opowiada o swojej pasji.

— O tak... Okolica pełna jest wspomnień przeszłości. Niestety najczęściej smutnych i złych. Jeżeli to księdza ciekawi, na bagnach znajdują się głazy z dawnych wieków... Dolmeny. Robią niesamowite wrażenie. Koniecznie będzie je ksiądz musiał zobaczyć.

Niektórzy nazywają dolmeny diabelskimi kamieniami. Jako dziecko sam słyszałem legendy o diabłach, które dźwigały głazy, żeby zmiażdżyć nimi budynek kościoła. W opowieści wschód słońca niweczył plan diabła, który musiał powrócić do piekieł, ponieważ nie mógł znieść światła dnia. Wówczas porzucony przez diabła głaz zostawał w tym miejscu, w którym upadł, gdy demon wracał do piekła.

Prawdę mówiąc, byłem ogromnie ciekaw okolicznych dolmenów. Miałem ochotę kontynuować ten temat, ale Lazare pospiesznie zerknął na zegarek na łańcuszku, który nagle zmaterializował się w jego dłoni.

— Wypił ksiądz herbatę? — raczej stwierdził, niż zadał pytanie. W każdym razie nie czekał na odpowiedź. Być może zamierzał się jeszcze dziś modlić i pragnął

oddać się wieczornym rozmyślaniom w ciszy i w samotności. — W takim razie odprowadzę księdza. Tutaj nie miałbym gdzie księdza przenocować. Sąsiedni pokój nie jest jeszcze gotowy. Ale niedaleko jest mała gospoda.

— Pewnie obudzimy właścicieli... — zmartwiłem się, podnosząc się z krzesła ze zboląłą miną.

— W taką noc na pewno nie śpią — uciął proboszcz z przekonaniem.

5.

Co mi umknęło w trakcie tamtej rozmowy, kiedy burza przewalała się z łoskotem ponad dachem plebanii?

Byłem wyczerpany po długiej podróży, senny i niespokojny...

Musiałem przeoczyć coś istotnego.

Ta myśl nie dawała mi spokoju.

Przecież każdy, kto myśli o odebraniu sobie życia, na pewno dogłębnie rozważy tę decyzję. W głębi duszy nikt nie chce rozstać się z tym światem. Próbuje w jakiś sposób wołać o pomoc.

Ja nie zauważyłem żadnego bezgłośnego krzyku staro proboszcza.

A powinienem był go usłyszeć. Przecież ja również byłem księdzem — naszym zadaniem było chronić innych przed popełnieniem grzechu.

Bo tym właśnie było samobójstwo.

Grzechem śmiertelnym.